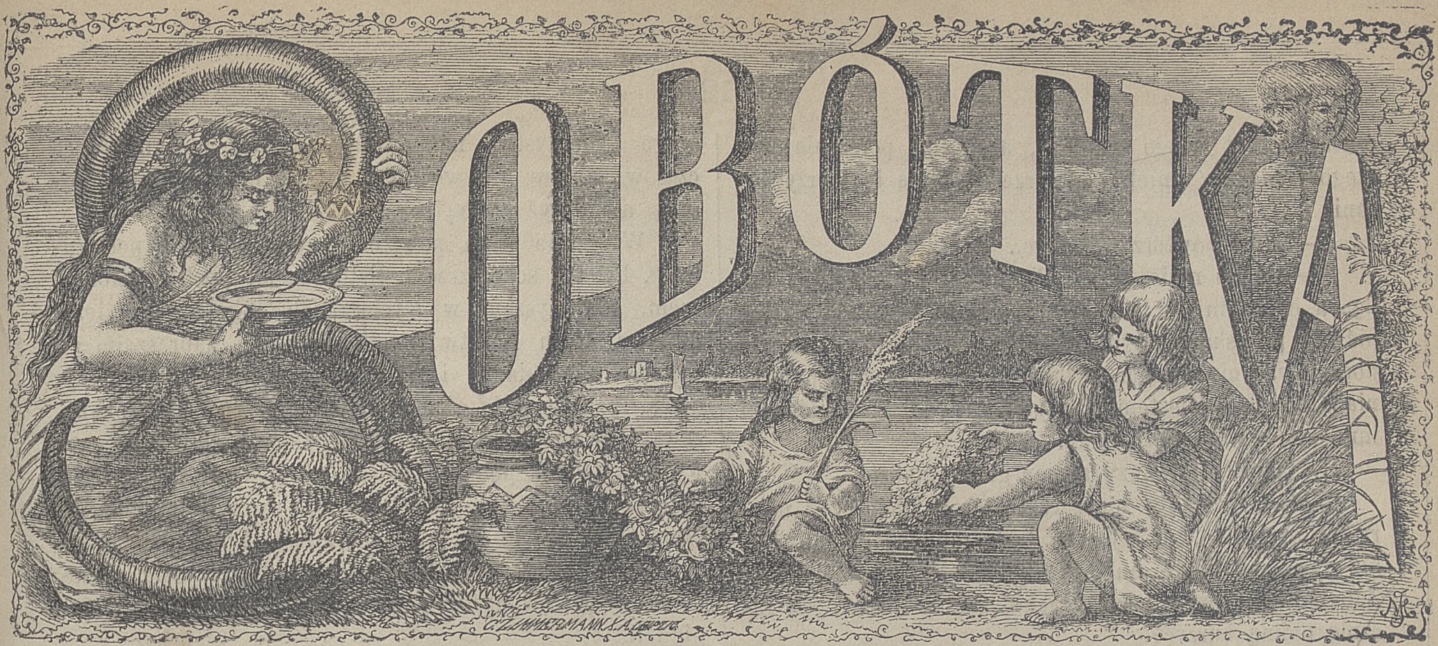


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 16. Poznań, dnia 17 Kwietnia 1869. Rok. I.

W MĘTNĖJ WODZIE.

Obrazki współczesne

przez **J. I. Kraszewskiego.**

(Dalszy ciąg.)

— Bo to się młokosy zrywają na kierowanie opinią.. Ruszył ramionami, i właśnie gdy były podniesione, uczuł, że go ktoś po nich z lekka uderzył, odwrócił się i postrzegł pana Izajasza Hocek.. Był to młody człek, który powszechnie za wodza czerwonych uchodził. Pan Drabicki nie był z nim źle, ale nie rad był, aby ostatnie słowa usłyszał, pożegnawszy więc naprędce p. Dyonizego, wziął pod rękę p. Izajasza i wyprowadził do drugiego pokoju..

— Cóżeś to temu szlachcicowi prawił? spytał Hocek.

— Ja? ale nie.. co chcesz bym z tą ślepą, zapleśniałą szlachtą mówił, kiedy ona nic nierozumie. Wszystko to zbutwiałe.

— Masz słuszność..

— Jednakże — dodał Drabicki.. czy wiecie, że ja z wami jestem całém sercem, duszą całą, ale powinniśmy mieć takt.. Zarozumiałych nie przestraszać.. grać rolę umiarkowanych... taktu! taktu!

— Przecież tak wiecznie milczeć nie będziemy..

Drabicki spojrzał niedowierzająco. —

— Cóż, możebyście chcieli, abym gwałtowniéj wystąpił i siebie i was skompromitował? Przyjdzie chwila.. w któréj otwarcie z zasadami wystąpimy, przygotowawszy ogół..

— Ale przygotowujcież..

— To się codzień czyni, powoli.. stopniowo.. Pamiętajcie tylko, dorzucił gorąco Drabicki, że jeśli mnie czy niedowierzając, czy z innych powodów.. opuścicie.. ja umywam ręce..

— Jakto opuścicie?

— Mówią o drugiéj gazecie..

— Ja nic nie wiem.

— Oprzyjcież się temu, toby było głupstwo..

Ścisnęli się za ręce, ale ze spojrzeń przy rozstaniu można było miarkować, że się rozchodzili, podejrzewając wzajemnie.

Przez drzwi pół otwarte do osobnego gabineciku.. widać było poważną postać z serwetą założoną pod brodą, wyprostowaną nad obiadem samotnym.

Drabicki obejrzał się w koło bacznie i jak wąż wśliznął do gabinetu, drzwi zamykając za sobą. Poważny, szpakowaty jegomość, wygolony do włosa, nie wstał, zobaczywszy go, tylko się uśmiechnął.

— Pana Radzcy dobrodzieja..

— Najniższy sługa..

— Nie przeszkadzam..

— Nie..

— Słóweczko.. chciałem mieć przyjemność choć tu pochwycić pana dobrodzieja.. Co pan mówi na skład teraźniejszy okoliczności... w Królestwie.. na zwrot opinii.. u nas?

Radzca bardzo rozumnie usta skrzywił, ale nie odpowiedział nic. — Hm. —

— Spodziewam się, że pan Radzca przekonanym jesteś, iż ja.. byłem i pozostanę bądź co bądź człowiekiem porządku...

— Hm! rzekł Radzca.

— Mógłem w młodości pobłądzić, ale doświadczenie jest wielkim mistrzem.. Zawdzięczamy w ostatnich

czasach zbyt wiele rządowi, ażebyśmy położenia naszego cenić nie umieli i szczerze doń nie byli przywiązani..

— Hm! powtórzył Radzca..

— Co do mnie, ja wszelkiemi siłami hamować będę.. a choćbym był niekiedy zmuszonym gorąco wystąpić dla pozyskania sympatyi, tego zwrotu mi za złe poczytywać nie można.. byłoby to koniecznością położenia.. Dopóki ja jestem przy sterze, dodał ciszéj, dopóki inne nie wystąpią dzienniki..

— Hm? spytał, zwracając głowę Radzca.

Lękam się, aby nie zaczęto ich zakładać bez miary.. a wszystkie bez wyjątku będą rządowi szkodliwsze, niż nasz, na który on bezwarunkowo rachować może. Zapalone głowy, młodzież.. jakto zacznie pisać.. jak zacznie opinią burzyć?

— Hm? zapytał Radzca.

— Już się słyszeć dają z projektami..

Radzca pytał znowu, ale tylko wzrokiem; był on nadto ostrożnym, aby miał rzec słowo, któreby się opacznie, dwuznacznie.. wyłożyć dawało, a broń Boże jeszcze powtórzyć!!

— W mieście chodzi już pogłoska, nie wiem o ile prawdziwa, że w tym celu przybył podkomorzyc Młyński... Jest to bardzo zapewne zacny, szlachetny młodzian, ale naturalnie młody, zapalony być musi, niepraktyczny,.. a deklamacye gorące prowadzą na bezdroża.. Nie powiadam tego, abym chciał hamować objawy przekonań.. ale zawsze..

Zbliżył się do ucha Radzcy.

— Radziłbym go mieć na oku!

A głośno dodał:

— Upadam do nóżek Radzcy Dobrodzieja — dobrego apetytu..

Poważny człowiek nieprzerwanie jadł, kiwnął głową, cała rozmowa nie zdawała się na nim najmniejszego czynić wrażenia, ale gdy się drzwi zamknęły, dobył pospiesznie pugilaresik i nazwisko jakieś zanotował. Poczém zapiął znowu serwetę pod brodę i jadł bardzo spokojnie, rozważnie, tak jak przepisy hygieniczne nakazują.

Drabicki już był w ulicy, a szczęśliwy traf nastręczył mu spotkanie człowieka, z którym był bardzo z daleka znajomy tylko, a widzieć się w téj chwili potrzebował..

Był to pan Sopoćko — niektórzy zwali go Monsieur le Chevalier, Niemcy czasem Herr Baron, przez grzeczność, — ale w istocie jeden Pan Bóg mógł tylko wiedzieć, kto był pan Sopoćko, ludziom się zdawało, niemal powszechnie, że to był człowiek bardzo porządny...

Nikt téż dobrze sobie z tego sprawy nie zdawał, z czego żył i co robił, z profesyi zdawał się być — katolikiem na okaz.

Nazwisko jego brzmiało jakoś z rusińska, ale o latach młodocianych i familii różnie różni prawili, — pochodzenie było mystyczne. Od bardzo dawna żył w tém mieście, środkami sobie tylko wiadomemi się utrzymując, oszczędnie ale porządnie. — Choć ani stan majątkowy, ani nazwisko skromne wstępu mu do wyższego towarzystwa nie dawały, — od niepamiętnych czasów się w nie wcielił i grał w niém pewną skromną, ale dosyć ważną rolę..

Wszystkie stare pobożne hrabine nim się posługiwały, był ich sekretarzem, listonoszem, posłem, tłómaczem, towarzyszem w wycieczkach pobożnych, należał do wszystkich bractw i stowarzyszeń, zapraszano go chciwie na obiadki i herbaty, na narady, na kwesty; a że nigdy prawie z próżnemi nie przychodził rękami, zawsze przyniósł wiadomostkę jakąś ciekawą, czasem wyglądającą na pobożną plotkę, niekiedy excerpt z listu, ułamek kazania lub nowo skomponowaną modną litanią — wszędzie był gościem miłym i pożądanym.

U duchowieństwa wszakże miał szczęście różne, niektórzy go wynosili pod obłoki, inni nań koso spoglądali.

Sopoćko czas swój, siły i zdolności, poświęcał pobożności i dobrym uczynkom, tak, że znać i rodziny się dla nich wyrzekł, bo nigdy o niéj ani mówił, ani się troszczył, jak gdyby jéj nie miał wcale. Zrana z ogromną do nabożeństwa książką widywano go na klęczkach na mszy u fary, lub tam, gdzie się najwięcéj osób dystynguowanych znajdowało. Spowiadał się i komunikował zapewne dla przykładu drugich, z pewną ostentacyą, w dnie uroczyste.. i to u najpierwszych spowiedników, a jeśli był X. Biskup, to u samego X. Pasterza.

A że człowiek był logiczny, szły u niego w parze pobożność wielka z zasadami gruntownemi konserwatywnemi; był nieulęknionym obrońcą moralizmu z łaski bożéj, legityzmu, absolutyzmu a nieprzyjacielem jawnym wszelkich liberalnych doktryn, mniemanych postępów, wolnomyślności i wolnomularstwa. O niczém tak nie lubił mówić, jak o sieci masońskiéj rozciągnionéj po Europie, o intrygach socyalistów i o widmie czerwoném.. W tém był niewyczerpanym.

Tolerancya wydawała mu się zbrodnią, któréj nazwiska nawet nie znosił.

Zresztą w społeczeństwie naszém zbyt jest wiele odmian tego gatunku, aby egzemplarz potrzebował bardzo szczegółowego opisu..

Jedną z cnot p. Sopoćki była oszczędność posunięta do takiego stopnia, iż, aby pokusie wydania grosza nie uledz, nigdy go przy sobie nie nosił, w razie wydatku prosił, żeby go kto zastąpił — i — potém zwrócić zapominał. Ale to przez dystrakcyą. Zresztą był ozdobą towarzystwa. Kięży w ręce całował, nawet gdy się od tego bronili.

Do ludzi odartych miał wstręt wielki (coś nerwowego), a z ubogimi obchodził się tak, aby im to dać uczuć, iż woli Bożéj, która ich dotknęła, sprzeciwiać się nie myśli. Winszował każdemu dotkniętemu boleścią krzyża, który mu Pan Bóg zsyłał, — a odejmować go lub ulżeć — miałby za świętokradztwo.

Źli ludzie przezywali go Jezuitą, z czego on w swojém kółku się chlubił; inni dawali mu przezwisko Faryzeusza, o czém milczał.

Zapomnieliśmy powiedzieć, że tłómaczył niegdyś piękną polszczyzną znakomite dzieło de Maistra, o opatrznościowém posłannictwie kata w społeczeństwie chrześcijańskiém. — Nie potrzebujemy mówić, że był zwolen-

nikiem cenzury kościelnéj i cywilnéj, a kary śmierci zapalczywym obrońcą.

Ale tak na oko, ktoby nań zdaleka spojrzał, wyglądał na łagodnego, czerstwego staruszka... którego by o zbytek energii posądzić trudno.

Żył tylko ze szlachtą.

Z tego obrazka łatwo się domyśleć, że on i Drabicki, który z obowiązku musiał być katolikiem umiarkowanym, liberalnym... niewyraźnym i nieco fantastycznym, — nie mogli być z sobą w stósunkach przyjaźni i zażyłości. Sopoćko od Redaktora uciekał, jak od zapowietrzonego. Kłaniał mu się ledwie z daleka; Drabicki, który w spółecznych stósunkach był eklektykiem, nie unikał go... Ale oba instynktowo czuli się nieprzyjaciołmi, choć się nie wyzywali.

Zdziwił się pewnie pan Sopoćko, gdy przechodząc mimo restauracyi, nie tylko ukłonem i powitaniem został zaczepiony, ale nawet interpellowanym przez Redaktora.

— Za pozwoleniem pana dobrodzieja...

Parę kroków odstąpiwszy — staruszek wyczekiwał ostrożnie dalszego ciągu.

— Prosiłbym o parę słówek.

— Słucham, rzekł z rezygnacyą pobożną pan Sopoćko.

— Jakkolwiek, począł, badając go wzrokiem Redaktor — nie mam szczęścia bliżéj być panu dobrodziejowi znanym... sądzę, że z tego przynajmniéj względu znać mnie musisz... iż należę do ludzi... porządku... do ludzi... że tak rzekę — umiarkowanych.

Sopoćko się uśmiechnął...

— Może być, że w obronie zasad zachowawczych nie idę tak daleko... jak by nieopatrzni ich zwolennicy sobie życzyli — ale... różnię się tylko od nich pojęciem praktyczniejszém środków, jakie do osiągniennia celu prowadzą.

Tu odchrząknął; Sopoćko głową kiwał.

— Z położenia mego muszę, ciągnął dalej — zbliżać się do osób różnych opinii, a chcąc przełamać ich przekonania, często pobłażać im czasowo bywam zniewolony.

Sopoćko się uśmiechał.

— Ale wierzaj pan, dodał, rękę kładnąc na piersiach — iż nie tak daleko od siebie stoimy, jak się zdaje.

Spojrzał. Staruszek milczał i czekał.

— Tam, gdzie sprawa wspólna przynajmniéj, powinniśmy być sobie pomocą wzajemnie.

— Hm! rzekł Sopoćko — a jakież są wspólne nasze interesa...

— Obrona zasad tradycyjnych... występowanie przeciwko radykalizmom objawiającym się w młodzieży.

— Ale ja wcale nie występuje przeciw nikomu... jestem człowiek prywatny.

— I w sferze prywatnéj, szczuplejszéj, wiele, wiele uczynić można, przygotowując opinią... rzekł Drabicki.

— Więc o cóż ostatecznie idzie! spytał szaraczkowy człowiek...

Młodzież, przynajmniéj tak mówią, sposobi się do założenia nowego organu... nowego niby dziennika..

Sopoćko ruszył ramionami.

— Kto? co? nie będą mieli pieniędzy... odparł cicho.

— Ale przybył tu podkomorzyc Młyński, jest to młody człowiek dosyć majętny... bardzo zapalony... zdaje mi się, że głowa niebezpiecznie zawrócona... Téj tylko przestrogi udzielić mogę...

To mówiąc, zdjął kapelusz Drabicki i wymknął się żywo, gdyż jeszcze najmniéj pięciu osobom miał udzielić różnych potrzebnych przestróg w tym przedmiocie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SONETY.

WSPOMNIENIE.

Wiosko moja rodzinna, wy domowe drzewa,
Pola, łąki, doliny, wy gaje zielone,
Kędy zdrój czysty płynie, słowik wdzięcznie śpiewa,
Do was rwie się me serce tęsknotą dręczone.

O! mój mały ogródku, pełen róż, powoju,
I ty kościołku szary, w ciszy zadumany,
I wy, méj nizkiéj strzechy pobielane ściany,
Ileż wśród was błogiego doznałam pokoju!

O! dni szczęsnéj młodości, najmilsze pamiątki,
I wy, dziecięcych latek niewinne uciechy,
Jedno tęschne się po was wspomnienie zostało,

Świat rozwiał świetnych marzeń pozostałe szczątki,
Obalił gmach nadziei, struł wiary uśmiechy,
Zostawił jedno serce, co tyle cierpiało.

PIEŚŃ SŁOWIKA.

Czemu tak rzewnie śpiewasz, słowiczku mój mały,
Pośród wonnéj zieleni brzozowego lasku,
Czyli o róży ślicznéj marzysz wieczór cały,
Brylantami świecącéj w słońca złotym blasku?

Twój śpiew smętny a luby w głąb' serca mi wnika
I budzi dni uroczych chwile zapomniane,
Wtenczas jam także pieśni słuchała słowika,
A serce drżało szczęścia uczuciem wezbrane.

Potém w ogródku moim uwiądł krzak różany,
Suche listki wiatr rozwiał, kolce pozostały,
Wraz słowika pieśń luba umilkła w téj stronie.

W miejsce czystéj rozkoszy nowy ból nieznany
Duszę szarpał i serce rwało się w kawały,
Wieniec cierniowy krwawo opasał me skronie.

Poznań, 11 kwietnia 1869. T...... R.



Przed sześciu laty: Przepędzenie Moskali przez granicę pruską.

Za granicą.

(Z ryciną.)

Było to w kwietniu, kilka lat temu. Noc była cicha, spokojna, na ciemném niebie jasne świeciły gwiazdy, gdy o drugiéj z północy odezwała się śród obszernych lasów lubstowskich trąbka, a za nią głuchy łoskot bębna. Do broni! — wołano po całym obozie. Jedni zrywali się z twardego snu, drudzy na pół drzemiący przecierali oczy, goniąc jeszcze myślą znikające obrazy półsennych marzeń, inni powstawali od ognisk; nawoływano się do rozbierania broni, zarzucano się pytaniami, coby była za przyczyna tak rychłéj i niespodziewanéj pobudki, czy opuścimy lubstowskie lasy, w którą ruszymy stronę?

Nie upłynęło pół godziny a staliśmy już wszyscy pod bronią, w wyciągniętym szeregu, gotowi do wymarszu. Young przeszedł dwa razy przed frontem, stary i kochany major Wasilewski powitał się z każdą kompanią, zagrzał „chłopców“ kilku słowy, wspomniał o swych młodych latach, o roku 1831. Dano znak, ruszyliśmy w drogę.

Było nas blisko półtora tysiąca, w większéj części sami młodzi, znajomi, spokrewnieni, pełni zapału i nadziei; to też marsz po nieznanych a krętych drogach, śród półwidnéj nocy, przy słabém świetle coraz liczniéj gasnących gwiazd, był bardzo wesoły, miał nawet pewien urok.

Po kilku godzinach marszu stanęliśmy we wsi Ruszkowie. Chwila wytchnięcia była pożądana, ile że znużonym nocnym marszem trzeba było pokrzepić osłabione siły. Po upływie małéj godziny, posiliwszy się nieco, kiedyśmy się zabierali do dalszego marszu, rozeszła się między szeregami siłą elektryczną wiadomość, że Moskale pod dowództwem Nelidowa są w bliskości i że z nimi lada chwilę przyjdzie do rozprawy. Ogólny zapał ogarnął wszystkich, pragnęliśmy jak najprędzéj spotkać się oko w oko z Moskwą, podwoiliśmy kroku i maszerując znowu kilka godzin bezustannie, szukaliśmy niecierpliwym wzrokiem po rozległych polach kujawskich nieprzyjaciela. Słońce zaczęło się już chylić, tymczasem ani jednego obieszczyka dopatrzyć nie mogłeś. Około godziny drugiéj z południa zbliżyliśmy się na dwa tysiące kroków do lasku, na którego krawędzi pomknęło się trzech jeźdźców.

— To Kozacy! — zawołał ktoś w szeregach. — To Moskale! — powtórzyły głosy.

Jakoż byli tam rzeczywiście Moskale, ale wówczas nikt ich z nas widzieć nie mógł. Nie wątpiliśmy jednak o ich bliskiém sąsiedztwie gdy Young, i sformowawszy całe wojsko, nakazał maszerować pojedyńczym kompaniom w pewnych odstępach wprost do lasu. Ruszyliśmy w dość ściśniętych szeregach, mając oczy zwrócone w stronę, gdzieśmy się Moskwy spodziewali. Już pierwsza kompania rozeszła się w tyraliery po lesie, druga do lasu wchodziła, a nikt jeszcze nie wiedział, z któréj strony ma się spodziewać zaczepki, bo ani jednego bagnetu moskiewskiego dopatrzeć się nie było można. Gdyśmy tak z odwiedzionemi kurkami w głąb' lasu wolnym posuwali się krokiem, nagle padło z przeciwnéj strony kilka strzałów, poczém rotowy zagrzmiał ogień. W okamgnieniu rozbiegliśmy się po całym lesie i zaczęliśmy się odstrzeliwać, biorąc na cel Moskali kręcących się pomiędzy drzewami naprzeciw położonego a w łuk zagiętego lasku. Wkrótce przekonaliśmy się, że główna ich siła nie w lesie, ale za sążniami była zaczajoną. Skorośmy tylko stanęli na krawędzi boru, — na sążnie! — zawołało kilka głosów razem.

Jeżeli nieliczni już żołnierze z 1831 roku z rozkoszą przypominają sobie pola Wawru i Grochowa, to niejednemu z tych, którzy byli pod Nową Wsią, serce goręcéj bić zacznie, gdy sobie przypomni atak na owe sążnie. Nie myślę bynajmniéj doświadczenia weteranów z r. 1831 stawiać na równi z naszém niedoświadczeniem, ani téż Grochowa lub Wawru porównywać z potyczką pod Nową Wsią, wszakże zapał, jaki nas wówczas unosił, był zapewne godny żołnierza Chłopickiego i Skrzyneckiego. Nie czekając komendy, równą pałający żądzą walki, rzuciliśmy się razem w młode zagajenie, z którego nam tylko głowy sterczały. Moskale, dobrze ukryci za sążniami, strzelali do nas, jak do kaczek; ale świst i grad kul, pryskające prąciki w prawo i w lewo, nie odebrały nam odwagi. Postępowaliśmy z taką odwagą i natarczywością, że Moskwa zaledwo zdołała się zebrać z po za sążni, gdyśmy się już pomiędzy nimi znaleźli. Sążnie, te Termopyle pierwszéj naszéj rozprawy, były pozycyą dla Moskwy straconą a dla nas zyskaną. Nie bawiliśmy jednakowoż tam długo, uderzyliśmy w las, wyparliśmy z niego nieprzyjaciela i niejeden z nas miał szczęście, czy nieszczęście, po raz pierwszy w życiu przypatrzyć się „szarkom“ uchodzącym przez otwarte pole na górę ku Nowéj Wsi.

Wygrana była naszą. Moskwa uchodziła w porządku spiesznym krokiem. Po całodziennym marszu ścigaliśmy ją od drugiéj aż do piątéj godziny z południa, wypierając ją w pogoni z każdéj nowéj pozycyi, którą chciała zająć, opierając się już to o zabudowania, już téż o małe laski.

Moskale spiesznym pędzili krokiem, jakby strachem podszyci, i zwolnili dopiero wtedy, gdy się oparli o brzegi goplańskiego jeziora, którego gładkie szafiry ginęły gdzieś w oddali. Biegliśmy precz za nimi, — w tém ozwała się trąbka do odwrotu. — Byliśmy już — za granicą!

Spojrzawszy w koło siebie, ujrzeliśmy zdala po za sobą na wysokich słupach malowane orły pruskie i moskiewskie. — Serce nam się ściskało... Moskale pobici znaleźli w Wielkopolsce bezpieczne schronienie, — my, zwycięzcy, wracaliśmy ku Mazowszu niepewni, czy zdjętych snem po trudach całodziennéj walki nie zbudzi czasem przeraźliwe hurra najezdniczego żołdactwa.

Zygmunt Cz...a.

Pobór do wojska na Litwie.

(Dokończenie.)

Bojaźliwsi i więcéj łatwowierni w przekonaniu, że miesiąc czasu utopił ich w niepamięci poszukujących, wracali do strzechy rodzinnéj — po to tylko, by okuci w kajdany przewędrować setki mil i zginąć w śniegach syberyjskich. — Natury żywsze nie opuszczały schronienia i kiedy ostateczność zmusiła, tworzyli bandy rozbójnicze, między którémi zdarzały się charaktery na wzór Rynaldo-Rinaldiniego. — Grajki postacie podobne chwytali i stworzywszy o niéj legendę, przy szumie puszczy białowiejskiéj lub borów Żmudzi do ucha wystraszonemu ludowi ją szeptali. — Ztąd spotykaliśmy wiele podań o tych chwilach najstrąszniejszych w życiu ludu

litewskiego. Jako przykład literatury ludowéj z czasów rządu moskiewskiego służyć może wierszyk przez p. Akielewicza zręcznie na język polski przełożony:*)

„My chłopacy, nieboracy
„Dokąd się udamy?
„Od Moskali, tych brutali,
„Nieszczęścia doznawamy!

„Biorą nocą i przemocą
„Pakują w kajdany!
„Pchną przy wozie, na powrozie,
„Między obce pany.

„Oj mateńko, oj serdeńko
„Byś głazem rodziła....
„To przy drodze, nie tak srodze,
„Dolaby karciła.

„Kukułeczka, kochaneczka
„Nie kuka w jesieni,
„Czy złéj doli a niewoli
„Nikt nam nie odmieni?

„Zaszeleściał i nadleciał
„Kruczek czarnopióry
„Luby ptasiu, cierpień świadku
„Spuść się do mnie z góry!

„Moje serce w poniewierce,
„Wydrzyj mi je z łona!...
„Zanieś matce, co tam w chatce,
„Płacze utrapiona...

„Zanieś ojcu, co w ogrójcu
„Spostrzegłszy sokoła —
„To mój synek, mój jedynek —
„Z uniesieniem woła.

„Luby ptaku, cierpień świadku,
„Nieś me kości w dzióbie;
„Niech rodzina, niech jedyna
„Złoży w ojców grobie!...

Czyż można w więcéj wymownych wyrazach scharakteryzować rządy Moskali w Litwie:

„Biorą nocą i przemocą,
„Pakują w kajdany!
„Pchną przy wodzie na powrozie
„Między obce pany!"

Przykuty do łańcucha, wśród płaczu matki, żony i dzieci, żegna Litwin strzechę rodzinną i wszystkich, którzy sercu jego są drodzy, by już do nich nie wrócić, ale gdzieś tam w batalionach oremburgskich ciało ze wspomnieniami ojczystemi złożyć!

Żeby dać jaśniejsze pojęcie o znaczeniu i o wstęcie ludu litewskiego do wojsk moskiewskich, przytoczę fakt, jakiego świadkiem byłem.

We wsi nad Niemnem położonéj, jeden z młodzieży wiejskiéj, skazany był do służby w wojsku moskiewskiém. Przeznaczeni dowiadują się o tym wyroku z chwilą jego wykonania; dla tego téż nie wiedząc o mającém go spotkać nieszczęściu, pragnął wstąpić w związki małżeńskie z córką sąsiada swego. Dzień ślubu już był naznaczony, sąsiedzi i swaty sproszeni, uboga uczta przygotowaną i może już nawet ruciany wianek był na ukończeniu, kiedy we wsi ukazało się wojsko w towarzystwie urzędnika poborowego.

Przestrach ogólny, płacz i jęk rozległ się w koło — jedni uciekali ku pobliskiemu borowi, inni znowu z niemą rezygnacyą poddawali się przeznaczeniu, śmielsze charaktery zbrojny opór stawiały, a matki klękając przed wykonawcami wyroku, błagały o litość dla siebie i synów. Jednak wyroki i jego wykonawcy nie miękli w obec tych oznak rozpaczy. Wspomniałem już, że i pan młody był na liście poborowych. Koléj przyszła na niego. Żołnierze zastali go przy chacie bladym, niemym i z siekierą w ręku. Widok znienawidzonego munduru przedstawił mu okropną rzeczywistość i jeszcze okropniejszą przyszłość; nie wahał się więc w środkach mogących go uwolnić od tych wyroków i podniosłszy siekierę, silném uderzeniem odciął dwa palce u ręki. Bez względu na wszystko, porwali go jednak i włożywszy na nogi tak zwane dyby*) poprowadzili przedstawić wyższéj władzy.

Pomimo ścisłego więzienia, w parę tygodni udało mu się oswobodzić z niego. Odtąd błąkał się przez rok cały po borach i zbożach, siłą zdobywając potrzeby życia codziennego.

Przez długi czas władza nie była w stanie go ująć, gdyż włościanie donosili mu o każdym jéj kroku.

W końcu uległ przemocy, i nie widząc innego wyjścia, życie sobie odebrał. Otóż u ludu i nowa legenda i nowa pieśń, któréj myśl z melodyą duszę słuchaczowi rozdziera. Ileż to takich pieśni osnutych na faktach podobnych krąży między ludem litewskim?

Pieśni litewskie w tym lub innym rodzaju różnią się swoim charakterem od wesołych i skocznych pieśni mazowieckich, różnią się o tyle, o ile Litwin powierzchownością nawet nie jest podobnym plemieniu słowiańskiemu. Litwin jest mniéj wysoki, jak Polak — czoło ma niższe, oko mniéj wielkie i żywe; lecz wyraz jego łagodniejszy i głębszy, kolor twarzy blady.

Zwyczaje domowe Litwy schodzą się ze zwyczajami Słowian. Nigdzie gościnność nie jest tak wysoko cenioną, jak w tym narodzie. Słowianie i Litwini zarówno kochają naturę, z tą różnicą, jak Mickiewicz mówi, że Słowianie kochają naturę zewnętrzną, kiedy Litwin ma uczucie więcéj zbliżone z jéj życiem. Badacz przeszłości litewskiéj, Narbut, zauważał, że cześć kwiatom jest powszechną w tym kraju. Przy każdéj ceremonii religijnéj, przy każdéj uroczystości domowéj, grają tam rolę ważną kwiaty odpowiednie. Między ludem jest pełno legend i śpiewów wyjaśniających znaczenie tych kwiatów. Czyż jest więc dziwném, że lud tyle poezyi mający wydał z łona swego Mickiewiczów i Słowackich?...

W.

---

*) W „Mrówce" drukowany.

*) Jest to gruba deska w środku wydrążona, w którą kładą nogę zabijąc gwoździami.

AMERYKANIN.

Powieść z czasów Kościuszki

napisał Wł. K. Wójcicki,

(Dalszy ciąg).

Po czterodniowym pobycie opuściła Ihnatowice, dziękując uprzejmie gospodarstwu za tak miłe przyjęcie; a Toc'ę serdecznie ściskając, szepnęła z cicha: masz we mnie szczerą przyjaciółkę.

Odtąd pisywały często do siebie: księżna, mająca szerokie stósunki, donosiła chorążance o ważniejszych wypadkach z życia Kościuszki i przeniesieniu się jego do Szwajcaryi, gdzie w Solurze osiadł stale przy Zeltnerze, przyjacielu swoim, otoczony miłością i uszanowaniem całéj jego zacnéj rodziny.

Zerwały się jednak w kilka lat te stósunki, gdy Tekla Żurowska, stósownie do woli ojca, oddała rękę Stanisławowi Chwalibogowi, skończywszy dwudziesty ósmy rok życia.

Rano w dzień ślubu po gorącéj modlitwie, zanim włożyła godowe panny młodéj suknie i wieniec mirtowy, napisała list ostatni do księżnéj, rosząc go rzewnemi łzami, donosząc jéj o swém małżeństwie i żegnając ją, równie jak wszelkie wspomnienia dawnéj swéj miłości.

Księżna odczytała go z głębokiém wzruszeniem.

— Teraz — rzekła do siebie — tylko mi przystało czuwać nad jego samotnością i sędziwym wiekiem.

XX.

R. 1817—1839.

Upłynęło blisko lat dwadzleścia od chwili, gdy księżna Ludwika odwiedziła Ihnatowice po powrocie, pisała zaraz do Kościuszki list pełen uczucia, że pragnąc bohaterowi uprzyjemnić i osłodzić samotne dni życia, ofiaruje się czuwać nad jego sędziwemi laty: ale Kościuszko nie przyjął téj szlachetnéj ofiary. — Teraz w tęsknocie serca, zapragnęła chociaż raz go jeszcze zobaczyć. Wyjechała pod pozorem podróży do Włoch i zatrzymała się w Solurze w połowie maja 1817 roku. Nie spodziewał się takiego gościa jenerał, gdy odebrał bilet wizytowy, że księżna Lubomirska z domu Sosnowska, pragnie go odwiedzić.

Rzewne było powitanie księżnéj i Kościuszki po czterdziestu trzech latach rozdziału. Starość na obliczu bohatera, wycisnęła w zmarszczkach i siwiźnie rękę swoją, ale zachowała oblicze nie zmienione i spojrzenie pełne jeszcze młodzieńczego blasku.

Księżna, owa Ludwisia ukochana, świeża jak róża, kiedy liczyła szesnasty rok życia, teraz zaczynająca sześćdziesiąty, zmieniła się wielce, nie zatrzymawszy żadnego śladu dawnego powabu, pomimo dostatków i staranności o płeć i podtrzymywanie wdzięków. — Raz po powrocie z Ameryki Kościuszko, będąc na wieczorze w zamku królewskim, był jéj przedstawionym przez męża, ale skromny i nieśmiały, ani spojrzał w jéj oblicze, nie wyrzekł słowa, tylko się zdaleka z uszanowaniem ukłonił i spiesznie odszedł. Zachowywał więc w pamięci owę twarzyczkę cudną dziewicy, to uśmiechniętą, to załzawioną. Teraz zaledwie mógł rozpoznać ta sama też Luwika Sosnowska wojewodzanka, co to zatliła w jego sercu tak silne uczucie, które go wygnało z ojczystéj ziemi na długie lata. Ale wkrótce pogodził się ze smutną rzeczywistością, wdzięczny za pamięć, nie umiał dobrać wyrazów na podziękowanie. Księżna bawiła kilka tygodni w Solurze, i codziennie widywała generała. Były to dni wielkiéj radości dla sędziwego starca, bo myśl jego bujała i kąpała się w słodkich wspomnieniach młodości.

Odwiedzała go kilkakrotnie w jego mieszkaniu, i zawsze dziwiła się nad skromném umeblowaniem, jak i sposobem jego życia. Nie miał służby, ani powozu, wyjąwszy kilku wierzchowców darowanych mu od współobywateli, których dozorował jeden stajenny. Czarny i gruby chleb, proste potrawy i szklanka piwa lub wina lekkiego, składały jego wdzięczną strawę, jak burka lub płaszcz płócienny okrycie zwierzchne na stary surdut granatowy. W otworze od guzika zwykł zatykać różę, albo czerwony gwoździk, i zdawało się, że nie może się obejść bez téj ozdoby. Wiedziała o tém przywiązaniu do tych kwiatów Tekla Żurowska, przesyłając mu do Międzyborza doniczkę z różą czerwoną: teraz damy mieszkające w Solurze, ubiegały się na wyścigi w dostarczaniu mu nawet wśród zimy tych kwiatów, troskiwie hodowanych w pokoju. Posłanie jego składało się z twardego materacu, dwóch poduszek i lekkiéj kołdry. —

Letnią porą zwykł wstawać o godzinie piątéj, a w zimie o szóstéj. Po śniadaniu w towarzystwie rodziny Zeltnerów, udawał się do swego pokoju i pracował: około dziesiątéj rano, wyjeżdżał konno, samotny, i umyślnie obracał drogę w ustronie odległe od gościńca, aby niewidziany przez nikogo mógł swobodnie podumać.

Księżna wywiedziawszy się o sposobie życia i rozkładzie godzin dnia całego, tak się urządziła, ażeby mu w niczém nie przeszkadzać. Śmiała się serdecznie, gdy właśnie w czasie jéj pobytu zdarzyło się, że Kościuszko szczególniéj roztargniony, siadłszy na konia, zapomniał wziąść z sobą pieniędzy. Ubodzy, zwykle oczekiwali go na drodze, którym rozdzielał jałmużnę. Koń, tak był nazwyczajony, że na widok ubogiego stawał, i dopóty nie ruszył, dopóki nie zobaczył, że miał doręczony datek. Teraz właśnie, zaledwie podwórze opuścił, zaszedł Kościuszce żebrak; szuka pieniędzy nie ma; chce zwrócić konia, ale ten, jak mur stoi, nie pomaga ani szpicruta, ani ostrogi. Mówi więc do żebraka:—

— Mój przyjacielu! udaj przed moim koniem, żeś odebrał jałmużnę, bo ja na przechadzkę nie pojadę, a sam przyjdź do mnie w południe, to wsparcie swoje dostaniesz.

I wyciągnął rękę do nastawionego kapelusza: bie-

dny się ukłonił, a koń dopiero był posłuszny swemu jeździcowi. —

Kiedy w poufnéj rozmowie księżna wspomniała o jego samotności, Kościuszko odrzekł z westchnieniem.

— Przypomniał mi ją rzewnie przed parą laty pan Jullien. Przybył tu w towarzystwie syna swego, i młodego Amerykanina Mortona. Zaprosiłem ich raz z moim przyjacielem Zeltnerem na przechadzkę do lasku St. Verena, który pani tak lubisz i gdzieśmy byli. Był to piękny, jesienny wieczór, wiatr chwilowo zrywane listki rozwiewał. Jullien zadeklamował wtedy mały wierszyk Arnaulta, którego treść dziwnie odbiła się w mém sercu. Nie pamiętam całego, ale ten tylko ustęp: „Zerwany z pnia twego listku biedny, zeschły listku, gdzie podążasz? Ja sam tego nie wiem... burza dąb złamała, który był jedyną moją podporą; wiatr mną pędzi to w doliny, to w góry, a biegnę tam, dokąd leci i liść róży i liść laurowy.“ Jakieś smutne przeczucie, szepnęło mi wtedy, że na obcéj ziemi skończę smutne życie, i nie mogłem się od łez powstrzymać*).

*) Jullien w dziełku swoim p. n. „Notice biographique sur Th. Kościuszko“ wspomina o tym zdarzeniu. —

Księżna, widząc głębokie wzruszenie starca, odwróciła jego uwagę rozmową o Polsce i znajomych mu osobach. Widząc go w weselszém usposobieniu nazajutrz przy wieczornéj pogadance, chcąc wydobyć z niego, czy téż nie zapyta o tę, którą pragnął poślubić, przypominała kwaterę jego w Międzyborzu, kasztelanowę Morską, Bejzyniów, księżnę Sapieżynę i doktora Stakenszmitta, ale generał milczał uporczywie, westchnął tylko boleśnie i odwrócił głowę. —

Ostatniego wieczora, kiedy księżna miała nazajutrz rano opuścić Solurę, Kościuszko prosił jéj, jakby przewidując bliski zgon swój, aby mu co na pamiątkę zostawiła. Księżna spełniła jego życzenie, przesyłając mu z Luzanny złoty pierścień z napisem, przyjaźń cnocie: ale ten dar znalazł Kościuszkę na śmiertelnych marach. Umarł dnia 15 października 1817 roku. Księżna, na wiadomość o jego zgonie, wróciła co rychléj do Solury, a przywdziawszy grubą żałobę, towarzysząc pogrzebowemu obchodowi, już jéj do końca życia swego nie zrzuciła!

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Beethoven w kuchni.

Genialny ten artysta lubił się otaczać równie genialnym, jak on sam nieporządkiem — to też mieszkanie jego przedstawiało zwykle obraz prawdziwego chaosu. Na podłodze, prawie nigdy nie zamiatanéj, przerzucały się stosy kopert od listów, których Beethoven mnóstwo odbierał, na krzesłach leżały w nieładzie książki i nóty. Przy oknie zwykle wieczorem stało jeszcze śniadanie, a kiedy znakomity maestro czego szukał, z wszystkich kątów wypadały z łoskotem próżne flaszki.

A już to szukać musiał zawsze, bo w téj bezdennéj otchłani najróżnorodniejszych rzeczy co chwila coś ginęło. Beethoven szukał i coraz większe sprawiał zamięszanie, a przy tém gniewał się i piorunował straszliwie na panią Schnaps, swoję kucharkę i gospodynię, na którą zwalał całą winę codziennego utrapienia. Tymczasem główną przyczyną tego strasznego nieładu było ciągłe przenoszenie się z miejsca na miejsce, gdyż zgryźliwy artysta nie mógł sobie dobrać mieszkania i zmieniał je tak, jak się zmienia bieliznę.

Raz przepadła mu gdzieś cała partytura pięknéj symfonii, już na czysto przepisana i przygotowana do druku. Przeszło dwa tygodnie szukał jéj biedny Beethoven i przeklinał wszystko w żywe kamienie. Nareszcie znalazł ją, ale gdzie?

Oto w kuchni leżały na niéj masło, mięso i inne kuchenne artykuły. Rozsierdzony o to komponista, rozbił kucharce kilka jaj na głowie i natychmiast ją oddalił; — jedzenie już i tak od dawna mu nie smakowało, postanowił sobie zatém sam gotować. Gotować przecież łatwiéj, jak tworzyć symfonie — pomyślał sobie i nakupiwszy najrozmaitszych rzeczy na targu, zaprosił kilka przyjaciół na obiad.

Goście na oznaczoną godzinę przybyli i zastali z podziwieniem gospodarza w kuchni. W białéj rogatéj czapce, przepasany fartuchem nie pierwszéj już czystości, wyglądał jak cyklop w kuźni. Ogień buchał zapamiętale na kominie, garnki syczały, kipiały, masło skwierczało, już bliskie spalenia, ale nic jeszcze nie było gotowe.

Beethoven w rozpaczy przypadał raz poraz do ogniska i to nożem, to kopyścią groził nieposłusznym garnkom, przewracał je, stawiał, palił sobie ręce, a pieczeń jeszcze bardziéj — goście tymczasem czekali ze stoiczną cierpliwością i dopominającym się głośno o swe prawa żołądkiem na rezultaty téj piekielnéj wrzawy.

Nareszcie Beethoven wyszedł z kuchni z miną tryumfatora powracającego z placu boju, ale lichy był jego tryumf! Rosół był mętny i chudy, jak szpitalna zupa, bo kuchmistrz zapomniał szumować mięsa i dolewał ciągle wody. Jarzyna pływała prawie w wodzie, ale już to pieczeń była okropna — spieczona, jak wiór i cała sadzami pokryta.

Nikt nie mógł jeść, tylko Beethoven połykał i chwalił wszystko. Szczęściem goście znaleźli dla siebie chleb z masłem i kilka butelek dobrego wina, które było przygotowane do porządnego obiadu.

Na drugi dzień pani Schnaps krzątała się znowu w kuchni Beethovena.

Szarada.

Cztery zgłoski a tylko trzy słówka:
Krzak, kwiat na poty — pierwsze — lekarstwo;
Jak wie kto o czém: mówi końcówka,
Środek — dzierżących pisze mocarstwo.
Wszystko po śmierci ich stan — opiewa,
W którym kraj nieraz krwią się zalewa.

(Rozwiązanie szarady w nr. 15: ***Samosierra.***)

PUSZKA DO LISTÓW.

Panu A. Vib. z Ostrowa: Przyznajemy, że z nastaniem wiosny „Smętny budzi się gaj; Piosnkę kwili już skowronek“; ale trudno nam uwierzyć, że „Wnet na ziemi będzie raj.“ Zechciéj Pan jednakowoż mieć nas w pamięci. Za szczere życzenia szczerze dziękujemy.

Ks. R. w Z.: Jestto kwestya, czy „bawoły amerykańskie“ będą zdolne zainteresować czytelników Sobótki. Porozumiemy się zresztą bliżéj.

Panu K. K. z Lub.: Pańskie „Ad varia!“ złożyliśmy ad acta; zresztą pannie Eufrozynie winszujemy, pana Serafina żałujemy a Panu ręczymy, że coś ogólniejszego ad acta nie odłożymy.

Panu S. P. w Poznaniu: Być może, że „imię Wielkiego“ zamieścimy.

Ks. Konst. D. w Brzeżanach: Dziękujemy za przyiacielską pamięć.

Panu W. J. Mar. w Węg. pod Kiszkowem: Pańskie „płody“, jeżeli nie klasyczne, to są przynajmniéj czytelne. I to zasługa, za którą umiemy być wdzięcznymi. — Tysiącem, który Pan posiadasz, chętnie się podzielimy, zastrzegamy sobie tylko, że wybierzemy z niego czystą monetę.

Od Redakcyi.

Osoby, które na poczcie zapisały **Sobótkę** dopiero od drugiego kwartału, upraszamy, ażeby zechciały się zgłosić do księgarni M. Leitgebra po obadwa numery pierwszego kwartału, w których się rozpoczęła powieść „W mętnéj wodzie“; przytém upraszamy o odnowienie abonamentu na bieżący kwartał.

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Roman Szymański w Poznaniu, Lipowa ulica nr. 2. — Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu.
Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.